Franz Kafka

# GŁODOMÓR

Franz Kafka

# GŁODOMÓR

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

# Franz Kafka

## GŁODOMÓR

W ostatnich dziesiątkach lat zainteresowanie głodomorami bardzo osłabło. Podczas gdy dawniejurządzanie tego rodzaju przedstawień na własny rachunek dobrze się opłacało, teraz jest to zupełnie niemożliwe. Były inne czasy. Niegdyś głodomorem zajmowało się całe miasto; od jednego do drugiego dnia głodu wzrastało zaciekawienie, każdy pragnął zobaczyć głodomora przynajmniej raz dziennie, później pojawiali się abonenci, którzy przez cały dzień siedzieli przed małą, okratowaną klatką; pokazy odbywały się także w nocy, dla większego wrażenia przy świetle pochodni; w dni pogodne wynoszono klatkę na dwór i wtedy pokazywano głodomora zwłaszcza dzieciom; podczas gdy dla dorosłych był on często jedynie rozrywką, w której brali udział, ponieważ taka była moda, to dzieci pełne podziwu, z otwartymi ustami, dla pewności trzymając się za ręce, patrzyły, jak on, blady, w czarnym trykocie, z silnie wystającymi żebrami, gardząc nawet krzesłem, siedział na rozrzuconej słomie, czasem uprzejmie się kłaniając, z wymuszonym uśmiechem odpowiadał na pytania, wyciągał także ramię przez kraty, aby można było dotknąć jego chudości, lecz potem znowu całkiem zamykał się w sobie, nie troszczył się o nikogo, nie dbał nawet o tak ważne dla niego uderzenie zegara, który był jedynym meblem w klatce, tylko patrzył przed siebie z zamkniętymi prawie oczyma i od czasu do czasu upijał troszeczkę wody z

maleńkiej flaszeczki, aby zwilżyć sobie wargi. Poza zmieniającymi się widzami byli tu także stali dozorcy wybrani przez publiczność, dziwnym przypadkiem zazwyczaj rzeźnicy, którzy, zawsze trzej równocześnie, mieli za zadanie pilnować głodomora dniem i nocą, aby w jakiś tajemniczy sposób nie przyjął on jednak pożywienia. Ale była to tylko formalność wprowadzona dla uspokojenia mas, gdyż wtajemniczeni widzieli dobrze, że głodomór podczas głodówki nie zjadłby nawet okruszyny nigdy, w żadnych okolicznościach, nawet pod przymusem; zabraniał tego honor jego sztuki. Oczywiście nie każdy dozorca umiał to zrozumieć, trafiały się nieraz nocne grupy dozorców, którzy odbywali straż bardzo niedbale, umyślnie siadali razem w odległym kącie i tam pogrążali się w grze w karty z oczywistym zamiarem użyczenia głodomorowi małego posiłku, którego, ich zdaniem, mógł zaczerpnąć z jakichś ukrytych zapasów. Nic nie sprawiało głodomorowi większej przykrości niż tacy dozorcy; doprowadzali go do rozpaczy, czynili mu głodowanie straszliwie ciężkim; nieraz więc przezwyciężał swoje osłabienie i w czasie takiego dozorowania śpiewał tak długo, jak tylko wytrzymywał, aby pokazać tym ludziom, jak niesłusznie go podejrzewali. Ale niewiele to pomagało; podziwiali tylko jego zręczność, że nawet w czasie śpiewu potrafi jeść. O wiele milsi byli mu dozorcy, którzy siadali przy klatce, nie zadowalali się mętnym nocnym oświetleniem sali, lecz kierowali na niego nocne światła elektrycznych lampek kieszonkowych, których dostarczał im impresario. Rażące światło nie przeszkadzało mu wcale, spać nie mógł przecież w ogóle, a trochę zdrzemnąć się potrafił zawsze, przy każdym oświetleniu i o każdej godzinie, także w przepełnionej, hałaśliwej sali. I z takimi dozorcami zawsze był gotów przepędzić całą noc bez snu; gotów był żartować z nimi, opowiadać im historie ze swego wędrownego życia, potem znowu słuchać ich opowiadań, a wszystko tylko dlatego, aby nie usnęli i aby im wciąż na nowo mógł udowadniać, że nie ma w klatce

niczego do jedzenia i że głoduje tak, jak żaden z nich by nie potrafił. Ale najszczęśliwszy był wtedy, gdy nadchodził poranek i przynoszono mu, na jego rachunek, bardzo obfite śniadanie, na które rzucali się z apetytem zdrowych mężczyzn będących po nużącej nocy spędzonej na warcie. Co prawda byli nawet ludzie, którzy w tym śniadaniu chcieli widzieć nieuczciwy środek wpływania na dozorców, ale tego było już za wiele, i gdy ich pytano, czyby też dla samej sprawy, bez śniadania, chcieli się podjąć nocnej straży, wycofywali się, upierając się jednak przy swoich podejrzeniach. Należały one zresztą do podejrzeń, których nie można oddzielić od głodowania w ogóle. Nikt przecież nie był w stanie spędzić przy głodomorze wszystkich dni i nocy bez przerwy jako strażnik, nikt więc nie mógł stwierdzić na własne oczy, czy naprawdę głodowano bez przerwy i nienagannie, mógł to wiedzieć tylko sam głodomór, a więc tylko on mógł być równocześnie zupełnie zadowalającym świadkiem swojego głodowania. On jednak - z innego znowu powodu - nigdy nie był zadowolony, możliwe, że to wcale nie wskutek głodowania wychudł tak bardzo, iż pewni ludzie z żalem musieli trzymać się z dala od pokazów, bo nie znosili już jego widoku - może wychudł tak wskutek niezadowolenia z samego siebie. Gdyż tylko on jeden wiedział i poza nim nie wiedział tego nawet nikt wtajemniczony, jak łatwe było głodowanie. To była najłatwiejsza rzecz na świecie. I nie ukrywał też tego, ale nie wierzono mu, w najlepszym razie uważano go za człowieka skromnego, ale najczęściej za szukającego reklamy albo wprost za oszusta, któremu głodowanie przychodzi łatwo dlatego, że potrafił uczynić je sobie łatwym, i który ma jeszcze czelność na pół do tego się przyznać. To wszystko musiał znosić i z upływem lat przyzwyczaił się też do tego, ale zawsze gryzło go wewnętrznie to niezadowolenie i nigdy jeszcze, po żadnym okresie głodowania - to świadectwo musi się mu wystawić - nie opuścił dobrowolnie klatki. Jako najdłuższy czas głodowania ustalił impresario dni czterdzieści, i ponad to nie

pozwolił mu nigdy głodować, nawet w stolicach świata, i słusznie. Zgodnie z doświadczeniem mniej więcej przez czterdzieści dni można było przez wzrastającą stopniowo reklamę podniecać coraz bardziej zainteresowanie miasta; potem jednak publiczność zawodziła i stwierdzano istotny spadek frekwencji; istniały oczywiście w tym względzie drobne różnice między miastami i krajami, ale jako regułę przyjmowało się, że czterdzieści dni było okresem najdłuższym. Wtedy więc, w czterdziestym dniu, otwierano drzwi uwieńczonej kwiatami klatki, zachwyceni widzowie wypełniali amfiteatr, grała orkiestra wojskowa, dwaj lekarze wkraczali do klatki, aby przeprowadzić na głodomorze konieczne pomiary, przez megafon obwieszczano sali rezultaty, i w końcu podchodziły dwie młode damy, szczęśliwe, że je właśnie wybrano, i chciały wyprowadzić głodomora z klatki po paru stopniach, tam gdzie na małym stoliczku przygotowano starannie dobrany posiłek, jaki podaje się choremu. I w tym momencie głodomór zawsze się wzbraniał. Wprawdzie kładł jeszcze dobrowolnie swoje kościste ramiona w przyjaźnie wyciągnięte ręce nachylonych ku niemu dam, ale powstać nie chciał. Dlaczego zaprzestać właśnie teraz, po czterdziestu dniach? Wytrzymałby jeszcze długo, bezgranicznie długo, dlaczego przestać właśnie teraz, gdy głodowało mu się najlepiej, choć właściwie nigdy dotąd najlepiej mu się jeszcze nie głodowało? Dlaczego chciano go obrabować ze sławy dalszego głodowania, i to nie tylko ze sławy największego głodomora wszystkich czasów, którym prawdopodobnie już był, ale także prześcignięcia samego siebie aż do niepojętych szczytów, gdyż dla swych zdolności głodowania nie znał on żadnych granic. Dlaczego ten tłum, który udawał, że go tak podziwia, okazywał mu tak mało cierpliwości; jeżeli on wytrzymywał dalsze głodowanie, dlaczego oni nie mogli wytrzymać? Był też zmęczony, siedział sobie wygodnie w słomie, a teraz musiał się wyprostować na całą wysokość i podejść do jedzenia, o którym sama myśl wywoływała mdłości, powstrzymywane z

trudem jedynie przez wzgląd na damy. I patrzył w górę, w oczy pozornie tak przyjaznych, a naprawdę tak okrutnych dam, i potrząsał głową zbyt ciężką na tak słabej szyi. Lecz potem działo się to, co działo się zawsze.

Przychodził impresario, podnosił niemo - muzyka uniemożliwiała przemówienie - ramiona ponad głodomorem, tak jakby zapraszał niebiosa do obejrzenia tu, na słomie, swego stworzenia, tego godnego pożałowania męczennika, którym zresztą głodomór był w istocie, tylko że w całkiem innym znaczeniu; obejmował głodomora w cienkiej talii, przy czym przez przesadną ostrożność chciał pokazać, z jaką to kruchą rzeczą ma tu do czynienia, i przekazywał go - nie bez potrząśnięcia nim trochę, niepostrzeżenie, tak że głodomór bezwładnie tu i tam kołysał nogami i tułowiem - damom, które tymczasem trupio pobladły. Teraz głodomór pozwalał robić ze sobą wszystko; jego głowa leżała na piersi, wyglądało, jakby stoczyła się i zatrzymała tam w sposób niewyjaśniony; ciało było jakby wydrążone, nogi instynktem samozachowawczym ściskały się mocno w kolanach, szurały jednak po ziemi tak, jakby nie była to ziemia prawdziwa, prawdziwej dopiero szukały; i cały zresztą bardzo mały ciężar ciała leżał na jednej z dam, która szukając pomocy, zdyszana - nie tak wyobrażała sobie ową zaszczytną funkcję - z początku jak najdalej wyciągała szyję, aby przynajmniej twarz uchronić od zetknięcia z głodomorem, potem jednak, gdy jej się to nie udawało, a szczęśliwa towarzyszka nie przychodziła jej z pomocą, lecz zadowalała się niesieniem przed sobą, z drżeniem, ręki głodomora, tej małej wiązki kości - wybuchła płaczem wśród zachwyconego śmiechu sali i musiał ją zastąpić służący, który od dawna już stał w pogotowiu. Potem przychodziło jedzenie, z którego impresario wmuszał nieco głodomorowi w czasie jego półsnu podobnego do omdlenia, wśród wesołej gawędy, która miała odwrócić uwagę od stanu głodomora; potem wznoszono jeszcze toast na cześć publiczności, który niby to głodomór

podszeptywał panu impresario; orkiestra potwierdzała wszystko wielkim tuszem, zaczynano się rozchodzić i nikt nie miał prawa być niezadowolonym z tego, co widział; nikt, tylko sam głodomór, zawsze tylko on.

Tak żył przez wiele lat, z małymi, regularnymi okresami wypoczynku, w pozornym blasku, szanowany przez świat, mimo wszystko jednak przeważnie w ponurym nastroju, tym bardziej jeszcze ponurym, że nikt nie umiał brać go poważnie. Czymże miano go pocieszać? Czegóż mógł sobie jeszcze życzyć? A gdy czasem znalazł się poczciwiec, który użalił się nad nim i chciał mu wytłumaczyć, że smutek jego pochodzi prawdopodobnie z głodu, to mogło się zdarzyć, zwłaszcza wśród daleko posuniętej głodówki, że głodomór odpowiadał wybuchem wściekłości i ku przerażeniu wszystkich zaczynał jak zwierzę trząść kratami klatki. Ale na takie wypadki impresario miał na podorędziu karę, którą chętnie stosował. Usprawiedliwiał głodomora przed zebraną publicznością i dodawał, że li tylko wywołana przez głód i dla ludzi sytych zasadniczo niezrozumiała pobudliwość może wytłumaczyć jego zachowanie; następnie w związku z tym przechodził do dającego się w podobny sposób wytłumaczyć twierdzenia artysty, że mógłby głodować jeszcze o wiele dłużej, niż głoduje, chwalił owe szczytne dążności, dobrą wolę, wielkie samozaparcie, które z pewnością zawierało się także i w tym twierdzeniu; następnie jednak próbował dość prosto odeprzeć to twierdzenie przez pokazywanie fotografii, które równocześnie sprzedawano, a na których widać było głodomora w czterdziestym dniu głodu, na łóżku, gasnącego niemal z wycieńczenia. Tego znanego dobrze głodomorowi, ale wciąż na nowo doprowadzającego go do rozstroju przekręcania prawdy było mu za wiele. To, co było następstwem przedwczesnego końca głodówki, przedstawiano tu jako przyczynę! Walczyć przeciw tej głupocie, przeciwko temu światu głupoty, było niemożliwością. Wciąż jeszcze z dobrą wiarą przysłuchiwał

się w klatce temu, co mówił impresario, ale za każdym razem, gdy zjawiały się fotografie, puszczał kraty, z westchnieniem opadał z powrotem na słomę i uspokojona publiczność znów mogła podejść i oglądać go.

Gdy świadkowie takich scen powracali do nich myślą w parę lat później, często nie rozumieli samych siebie. Gdy tymczasem nastąpił ów wspomniany gwałtowny przełom, stało się to prawie nagle i mogło mieć głębsze przyczyny, ale komuż zależało na tym, aby je odszukać; w każdym razie pewnego dnia rozpieszczonego głodomora opuścił szukający rozrywek tłum, który zaczął chętniej podążać na inne przedstawienia. Raz jeszcze impresario pognał z nim przez pół Europy, aby stwierdzić, czy nie wzbudzi się jeszcze tu i ówdzie dawnego zainteresowania; wszystko na próżno; jakby za tajnym porozumieniem powstała wszędzie niechęć do pokazowych głodówek.

Naturalnie, w rzeczywistości nie mogło to przyjść tak nagle i teraz poniewczasie przypominano sobie niejedne, w upojeniu powodzeniem nie dość uwzględniane i nie dość wówczas zwalczane zapowiedzi tego stanu. Teraz jednak za późno było coś przeciw nim podejmować. Co prawda było pewne, że kiedyś przyjdzie znowu czas głodówki, ale dla żyjących nie była to żadna pociecha. Cóż miał teraz począć głodomór? Ten, na którego cześć wiwatowały tysiące, nie mógł się pokazywać w budach na małych jarmarkach, a na to, by jąć się innego zawodu, był głodomór nie tylko za stary, ale przede wszystkim zanadto fanatycznie oddany głodowaniu.

Tak więc rozstał się ze swym impresario, towarzyszem bezprzykładnej kariery, i pozwolił się zaangażować wielkiemu cyrkowi; aby zaś oszczędzić swą wrażliwość, nie spojrzał nawet na warunki umowy.

Wielki cyrk ze swą niezliczoną ilością wciąż się wyrównujących i uzupełniających nawzajem ludzi, zwierząt i urządzeń może każdej chwili potrzebować każdego artysty, nawet głodomora, oczywiście przy odpowiednio skromnych wymaganiach, a zresztą w tym szczególnym przypadku angażowano nie tylko samego głodomora, lecz także jego stare, sławne nazwisko, a nawet wobec szczególnej właściwości tej sztuki, nieobniżającej swego poziomu z rosnącym wiekiem, nie można było powiedzieć, że wysłużony, niestojący już u szczytu swych możliwości artysta chciał schronić się na spokojne stanowisko w cyrku; przeciwnie, głodomór zapewniał, i było to całkiem wiarygodne, że będzie głodował tak dobrze jak przedtem, twierdził nawet, że jeżeli mu się na to pozwoli, a to przyrzekano mu od razu, to dopiero teraz wprawi świat w prawdziwe zdumienie. Twierdzenie to zresztą, ze względu na panujące współcześnie nastroje, o których artysta w swym zapale łatwo zapominał, wywoływało u fachowców tylko uśmiech.

W istocie jednak i głodomór nie stracił poczucia rzeczywistości i uznał za samo przez się zrozumiałe, że nie ustawiono go z jego klatką jako numer popisowy na samym środku maneżu, tylko zapewniono mu miejsce na zewnątrz, w punkcie zresztą dość łatwo dostępnym, w pobliżu stajni. Wielkie, jaskrawo wymalowane napisy otaczały klatkę i obwieszczały, co w niej jest do zobaczenia. I gdy publiczność w pauzach przedstawienia cisnęła się do stajni, aby obejrzeć zwierzęta, nie można było prawie uniknąć tego, by nie przejść obok głodomora i nie zatrzymać się przy nim na chwilę, a nawet zatrzymywano by się przy nim dłużej, gdyby dłuższego, spokojnego oglądania nie uniemożliwiali w tym ciasnym przejściu cisnący się z tyłu, którzy nie rozumieli tego przystanku na drodze do upragnionych stajni.

To było także przyczyną, dla której głodomór drżał przecież przed tymi wizytami, których równocześnie życzył sobie jako celu swego życia. Z początku zaledwie mógł się doczekać pauz przedstawienia; zachwycony, pokazywał się tłoczącemu się tłumowi, aż nader wcześnie - najbardziej nawet uparte, prawie świadome oszukiwanie siebie nie oparło się doświadczeniom - przekonał się o tym, że najczęściej byli to, sądząc z zamiaru, coraz nowi, sami tylko prawie bez wyjątku zwiedzający stajnie.

I ten widok był z daleka zawsze jeszcze najpiękniejszy. Bo gdy już do niego docierali, ogarniały go zaraz krzyki i obelgi nieprzerwanie na nowo tworzących się grup, tych, którzy - ci stali się wkrótce dla głodomora najprzykrzejsi - chcieli go wygodnie obejrzeć nie ze zrozumieniem, lecz tylko dla kaprysu i z przekory, i tych drugich, którzy przede wszystkim chcieli się dostać do stajni. Ale gdy wielki tłok minął, nadchodzili spóźnieni; i ci właśnie, którym nie przeszkadzano już zatrzymywać się, jak długo tylko mieli ochotę, przechodzili obok niego długimi krokami, prawie nie patrząc w bok, byle na czas zdążyć do zwierząt. I niezbyt często zdarzał się szczęśliwy przypadek, że nadchodził ojciec rodziny ze swymi dziećmi, wskazywał palcem na głodomora, dokładnie objaśniał, o co tutaj chodzi, opowiadał o dawnych latach, kiedy uczestniczył w podobnych, ale nieporównanie świetniejszych przedstawieniach - a wtedy dzieci, co prawda ciągle jeszcze nic nie rozumiały, z powodu swego niewystarczającego przygotowania ze szkoły i z życia - czymże był dla nich głód? - ale przecież w blasku swych badawczych oczu zdradzały coś z nowych, nadchodzących, łaskawszych czasów. A może, jak mówił sobie czasem głodomór, wszystko by się jednak trochę poprawiło, gdyby jego stanowisko nie było tak bardzo blisko stajni. Dano przez to ludziom zbyt łatwy wybór, nie mówiąc już o tym, że wyziewy stajni, niepokój zwierząt w nocy, przenoszenie surowych kawałków mięsa dla zwierząt drapieżnych i krzyki

przy karmieniu dokuczały mu dotkliwie i stale mu ciążyły. Ale nie odważył się składać zażaleń w dyrekcji; zawsze przecież zawdzięczał zwierzętom tłumy zwiedzających, między którymi tu i tam mógł znaleźć się ktoś przeznaczony dla niego; a któż wiedział, gdzie by go schowano, gdyby chciał przypomnieć o swojej egzystencji, a przez to samo o tym, że ujmując rzecz dokładnie, był tylko przeszkodą na drodze do stajni.

Co prawda małą przeszkodą, coraz mniejszą przeszkodą. Przyzwyczajono się do tej osobliwości, że w dzisiejszych czasach żąda się zwrócenia uwagi na głodomora, i przyzwyczaiwszy się, wydano na niego wyrok. Mógł sobie głodować, jak tylko potrafił, i robił to, ale nic już nie mogło go uratować, przechodzono obok niego. Spróbuj wytłumaczyć komuś sztukę głodu! Jeżeli jej nie czuje, nie możesz mu jej uczynić zrozumiałą. Piękne napisy stały się brudne i nieczytelne, zrywano je i nikomu nie wpadło do głowy zastąpić ich innymi; tabliczka z liczbą odprawionych dni głodówki, początkowo starannie co dzień odnawiana, była już od dawna ta sama, gdyż po pierwszych tygodniach służbie znudziła się już nawet ta mała praca; tak więc głodomór głodował co prawda dalej, jak to sobie niegdyś wymarzył, i udawało mu się to bez trudu, tak właśnie, jak niegdyś przepowiedział, ale nikt już nie liczył dni, nikt, nawet sam głodomór nie wiedział już, jak wielkie było jego dzieło, i ciężko mu było na sercu.

I kiedy raz na pewien czas jakiś próżniak przystanął, żartował sobie ze starej liczby i mówił o oszustwie, to było to w tym sensie najgłupsze kłamstwo, jakie tylko obojętność i wrodzona złośliwość mogły wymyślić, albowiem to nie głodomór oszukiwał, on pracował uczciwie, to świat oszukał go o jego zapłatę.

Ubiegło jednak znowu wiele dni i skończyło się nawet i to. Raz jakiś dozorca spostrzegł klatkę i zapytał służbę, dlaczego zostawiono tu bezużytecznie klatkę, tak dobrze jeszcze nadającą się do użycia, choć ze zgniłą słomą w środku; nikt tego nie wiedział, aż wreszcie ktoś dzięki tabliczce z liczbami przypomniał sobie o głodomorze. Przetrząśnięto żerdziami słomę i znaleziono w niej głodomora.

- Wciąż jeszcze głodujesz? - zapytał dozorca. - Kiedy wreszcie przestaniesz?

- Przebaczcie mi wszyscy - wyszeptał głodomór; ale tylko dozorca, który trzymał ucho przy kracie, zrozumiał go.

- Oczywiście - powiedział dozorca i przyłożył palec do czoła, aby w ten sposób wytłumaczyć personelowi stan głodomora. - Wybaczamy ci.

- Zawsze pragnąłem, żebyście podziwiali moją głodówkę - rzekł głodomór.

- Toteż ją podziwiamy - odpowiedział dozorca uprzejmie.

- Ale nie powinniście jej podziwiać - rzekł głodomór.

- Dobrze, wobec tego nie podziwiamy jej - rzekł dozorca - ale właściwie dlaczego nie powinniśmy jej podziwiać?

- Ponieważ muszę głodować, nie potrafię inaczej - rzekł głodomór.

- Popatrz no - powiedział dozorca - a dlaczego nie potrafisz inaczej?

- Ponieważ - rzekł głodomór, uniósł nieco główkę i mówił wargami wydłużonymi, jak do pocałunku, wprost do ucha

dozorcy, aby nic nie uronił - ponieważ nie mogłem znaleźć potrawy, która by mi smakowała. Gdybym ją znalazł, wierz mi, nie starałbym się o wywołanie sensacji i najadłbym się tak jak ty i inni. - To były ostatnie słowa, ale jeszcze w zgasłych jego oczach tkwiło mocne, choć już nie dumne przeświadczenie, że głoduje dalej.

- Teraz jednak zróbcie porządek - powiedział dozorca i pogrzebano głodomora razem ze słomą. Do klatki zaś wpuszczono młodą panterę. Nawet dla najtępszych umysłów był wyraźnym wytchnieniem widok tego dzikiego zwierzęcia, rzucającego się w klatce pustej od tak dawna. Panterze niczego nie brakowało. Smakującą jej żywność przynosili bez długiego namysłu dozorcy, zdawało się, że nie brakuje jej nawet wolności. To szlachetne ciało, wyposażone we wszystko, co potrzebne, tak obficie, że niemal pękała skóra, zdawało się obnosić i wolność wraz z sobą; zdawała się ona tkwić gdzieś w zębach; i radość życia buchała z jej paszczy takim żarem, że oglądającym niełatwo było tu wytrzymać. Ale przezwyciężali się, tłoczyli się wokół klatki i wcale nie chcieli się od niej ruszyć.